



## Prawda przybliżona, prawda relatywna, prawda absolutna, prawda kłamliwa

Wszyscy znamy góralską definicję prawdy (opowiedziana przez Ks. Tischnera): Świnto prowda, tyz prowda i g... prowda. Jest to definicja bardzo użyteczna, nie tylko w rozmowach przy układaniu siana na ostewkach, ale i w naszych pracowniach.

Górale dawno odkryli, że prawdy są albo prawdziwe, albo kłamliwe. Kłamliwie służą z reguły doraźnej propagandzie (mieliśmy przez całe lata do czynienia z pismem o tym tytule). Tak samo dzieje się dzisiaj. A propaganda jest zwykle w służbie jakiegoś mniej lub bardziej dziwnego (ale zawsze groźnego) fanatyzmu. Fanatyzm nie uznaje pojęć względnych: wszystkie są absolutne. Fanatyczni fanteści nie mają nic wspólnego z filozofią i nauką. A na forum publicznym wołają wyśmiać Gretę Thunberg (co za świetne nazwisko!), niż z nią dyskutować. Często jednak ci fanatyczni fanteści potrafią się wspaniale przemalować i przebrać: udają „naukowców”, „profesorów”, „menadżerów”, „ekspertów”. Jak poznać, że to wszystko g... prowda? Po uważnym przejrzeniu rozdziału Materiał i Metody, no i po umiejętnym zastosowaniu reguły „po ich owocach poznacie ich”. Nie każdy jednak ma czas, możliwości i stosowny trening, by to zrobić. Dlatego fake newsy są tak autentycznie piekielnie groźne w naszym życiu publicznym.

No ale co z prawdziwą prawdą? Pan Prof. Białas proponuje, by uznawać tylko prawdę przybliżoną. Jest to na pewno prawda nauk przyrodniczych. Jest wiedzą wciśniętą w granice błędów lub pominięć modelu, lub/i błędów pomiarowych. Dotyczy, między innymi, pewnych oczywistości obserwacyjnych („Ziemia jest w przybliżeniu elipsoidą, a odchylenie od tego kształtu jest mierzalne”), ale i skomplikowanych konstrukcji matematycznych (M-teoria, teoria strun). Myślę, że jest to góralska tyz prowda, jednak bez

odcienia pewnej pogardy, z jaką górale o takiej prawdzie mówią, gdyż dotyczy jednak teoretycznej i eksperymentalnej wiedzy o świecie – jedynej naukowej wiedzy, jaką o nim mamy.

Została więc świnto prowda. Czy ona w ogóle istnieje? Pan Prof. Białas sugeruje, by prawdę przybliżoną zaszczepić na grunt humanistyczny, przynajmniej na razie w sposobie, w jaki używamy pewnych pojęć w debatach publicznych. Wiąże się z tym pewne niebezpieczeństwo. Immanuel Kant miał na co dzień ze sobą dwa światy: „niebo gwiazdzone nad głową”, ale i „prawo moralne we mnie”. Może tam należy szukać tej trzeciej góralskiej prawdy? Jeśli tak, to wahałbym się mocno przed aplikacją jakichkolwiek przeszczepów temu organizmowi. Z jednym zastrzeżeniem jednakże: jeśli przeszczep dotyczyłby tylko metody uściślenia debat publicznych, zapewnienia im lepszej jakości, to taki przeszczep mógłby się przyjąć, i niekoniecznie musiałby przekształcić się, w ustach „ekspertów” od fake newsów, w groźny nowotwór.

Ludwik Wittgenstein (*Tractatus logico-philosophicus*) uważał chyba, że filozofię uprawiać mogą obecnie tylko matematycy, i to matematycy najlepsi, których jest nie tak wielu. Zdobyta przez nich wiedza filozoficzna jest zasadniczo nieprzekazywalna. Czy to oznacza śmierć filozofii? Na to wygląda...

Nie miał chyba jednak racji. Sokrates nauczył nas, że wprawdzie ludzkie pojęcia fikają koziołki i zmusić je można do wszystkiego, ale istnieją wewnątrz nas prawdy absolutne, trudno uchwytnie i ciężkie w stosowaniu, ale istnieją. Tylko w nas. Nauka indukcyjna (OK, Sokrates nie wiedział nic o nauce indukcyjnej) nie ma o nich pojęcia. Ale daimonion tak. Nasze sumienie.

MAREK R. LIPÍŃSKI

Rhodes University,  
Grahamstown South Africa



PRZYSZŁY TYDZIEŃ  
W PAU

Konferencje, Sesje, Imprezy...

# Procentologia uproszczona

W artykule *Procentologia* (PAUza Akademicka 502) Profesor Grzegorz Bartosz porusza ważny temat określenia wkładu autorów w powstanie publikacji. Autor zaznacza, że często wymagane jest określenie tego wkładu w procentach i stwierdza: „Nie widzę możliwości sformułowania sensownych intersubiektywnych kryteriów określania procentowego wkładu w powstanie publikacji”. Moim celem jest polemika z tym poglądem. Co więcej, wskażę takie intersubiektywne kryterium, używane powszechnie i to od dziesiątków lat przynajmniej w dwóch dziedzinach, które są mi bliskie: w matematyce i w informatyce teoretycznej. Otóż w obu tych dziedzinach stosowana jest powszechnie prosta zasada: nazwiska autorów figurują zawsze w porządku alfabetycznym, a w razie wymogu ustalenia wkładu procentowego w daną publikację ten wkład uznaje się zawsze za równy. Osobiście mam przygotowaną odpowiednią adnotację, którą umieszczam zawsze w cv, wnioskach grantowych itp. Ta adnotacja potrzebna jest wyłącznie na użytek odbiorców spoza dziedziny. Dla matematyków i informatyków teoretycznych jest to sprawa oczywista.

Nietrudno zauważyć zalety takiej powszechnie stosowanej reguły. Eliminuje ona żenujące spory między współautorami na temat: „ile kto zrobił”, każdy z góry wie, co go czeka przy współpracy, nie traci się czasu na często jałowe i zawsze budzące kontrowersje obliczanie wkładu poszczególnych współautorów.

Z pozoru wydawałoby się, że główną wadą takiego sposobu ustalania wkładu współautorów jest jego niesprawiedliwość: przecież w 4-osobowym zespole ktoś może prawie nic nie robić, a jednak jego nazwisko znajdzie się wśród współautorów niekoniecznie na ostatnim, ale na zdeterminowanym przez alfabet miejscu, zaś jego wkład ustalony zostanie na 25%. Okazuje się jednak, że takim potencjalnym niesprawiedliwościom skutecznie przeciwdziała mechanizm, który można by nazwać „niewidzialną ręką rynku naukowego”. Po prostu mniej kontrybuujący naukowcy (czy to z racji braku zdolności czy lenistwa) szybko przestają być zapraszani do dobrych zespołów naukowych. „Wieść gminna” niesie się szybko i słabszy lub mniej aktywny badacz wkrótce zostaje albo osamotniony, albo pracuje tylko z podobnymi do niego pod względem zdolności i pracowitości kolegami. Można powiedzieć, że ten egalitarny sposób określania wkładu naukowego eliminuje „pasożytnów” szybciej i skuteczniej niż system bardziej proporcjonalny do zasług. O ile w tym drugim koledzy mogliby „z litości” zaprosić dużo słabszego współpracownika do zespołu, myśląc: „a co tam, umieścimy go najwyżej na ostatnim miejscu i wycenimy jego wkład na 5%”, o tyle przy systemie równego podziału szybko go całkowicie wyeliminują, bo nikt nie lubi być wykorzystywany. Tak więc strategia „robić jak najmniej w danym projekcie” jest dla badacza katastrofalna: uda się raz, może dwa razy, ale potem

zamknie ona, często na zawsze, drogę do współpracy z silnymi naukowo kolegami. W czasie mojej długiej kariery naukowej (a miałem w ciągu ponad 40 lat niemal 90 w sumie współautorów, zwykle pracując w zespołach 2–3-osobowych) często widywałem ten proces eliminacji, a bardzo rzadko spotykałem się z powrotem do utraconej pozycji w środowisku. Jest to więc mechanizm może trochę brutalny, ale statystycznie bardzo sprawiedliwy.

Efektom tego mechanizmu eliminacji jest status quo polegające na tym, że w większości funkcjonujących zespołów partnerzy naprawdę mają mniej więcej równy wkład, w każdym razie w opinii członków zespołu, a o to przecież chodzi. Z moich obserwacji wynika, że członkowie zespołu naukowego zwykle starają się „dać z siebie” jak najwięcej, może nie tylko z obawy przed negatywnymi, opisanymi wyżej długoterminowymi konsekwencjami, lecz często z tej najszlachetniejszej pobudki pracy naukowej, jaką jest ciekawość, a także, nie ukrywajmy tego, by zdobyć uznanie czy podziw kolegów. Pewną taryfą ulgową w stosunku do wymogu równego wkładu obejmuje się czasem doktorantów, ale zwykle nie trzeba tego robić, bo młodzi naukowcy mają silną motywację do pracy i nadrabiają brak doświadczenia większą może od starszych pracowitością, a nierzadko zdumiewającą pomysłowością, właściwą wiekowi młodzieńczemu. Zresztą doktorantem jest się krótko, a potem ewentualna taryfa ulgowa się kończy.

Trzeba podkreślić, że gdy mowa jest o równym wkładzie uczestników w projekt badawczy, nie znaczy to wcale, że ten wkład jest taki sam czy podobny. Różni ludzie mają różne silne strony. Ktoś stawia świetne problemy, ktoś inny wymyśla wspaniałe „triki” dowodowe, jeszcze inny dysponuje głęboką techniką, która pozwala zamienić wymyślony przez kolegę trik w pełne rozwiązanie. Ktoś świetnie zna literaturę przedmiotu i pozwala zespołowi uniknąć „wyważania otwartych drzwi”. Jeszcze ktoś inny nie jest może twórczy, ale wspaniale krytykuje „niedoważone” pomysły kolegów. Wreszcie są tacy, którzy świetnie piszą i znalezione przez innych rozwiązania potrafią przedstawić w klarownej i eleganckiej formie. Słowem, z wielu różnych powodów może być warto pracować z danym naukowcem. Eliminowani są zwykle tylko ci, którzy niczego nie potrafili, bądź nie chcą, naprawdę dobrze zrobić.

Zachęcam przedstawicieli innych dziedzin, żeby przyjęli reguły „procentologii uproszczonej”, które z takim powodzeniem stosujemy w matematyce i informatyce teoretycznej. Poza oszczędnością czasu i uniknięciem psucia koleżeńskiej atmosfery targami o miejsce na liście współautorów czy sporami „o procenty” pozwalają one na przyjemność niezbyt może chwalebna. Możemy mianowicie śmiać się z całej tej procentologii, którą biurokraci ku naszemu utrapieniu wymyślili; śmiać się ukradkiem oczywiście, formalnie spełniając jej wymogi.

ANDRZEJ PELC

Université du Québec en Outaouais, Kanada

Droga Redakcjo,

Wypowiedź Profesora Grzegorza Bartosza w PAUzie Akademickiej (nr 502) z 20.02.2020 skłoniła mnie do zabrania głosu w sprawie tzw. procentowych udziałów w autorstwie publikacji. Uważam ten system za wręcz szkodliwy.

Zdarzyło mi się recenzować dorobek dwóch współautorów i okazało się, że zsumowanie procentowych udziałów dało więcej niż 100%. Ponadto w naukach eksperymentalnych cenna jest współpraca zespołowa.

Wyodrębnianie w dorobku naukowym procentowych udziałów w publikacji nie sprzyja podejmowaniu prac zespołowych, szczególnie wśród młodych pracowników.

Tak więc postępowanie się przy ocenie dorobku naukowego procentowym udziałem w publikacji jest wręcz szkodliwe.

LUCJAN PAWŁOWSKI

Politechnika Lubelska

# O potrzebie redefinicji

Administracyjny (ministerialny) podział nauki na dziedziny i dyscypliny jest wciąż dyskutowany (niekiedy kontestowany) w środowisku uniwersyteckim. Wprowadzone zmiany – jak zwykle – u jednych budzą entuzjazm, u innych krytykę. Niezależnie od indywidualnych ocen reformy szkolnictwa wyższego i formalnego podziału na dziedziny i dyscypliny, konieczne jest respektowanie zapisów prawnych, jakie Ustawa wprowadziła.

Jednym z problemów, jakie mogą pojawić się w praktycznym stosowaniu Ustawy, jest brak redefinicji dyscyplin naukowych, jakie utworzono przez połączenie „starych” dyscyplin. Podział i nazwy „nowych” dyscyplin nawiązują do systematyki stosowanej w OECD, chociaż podobieństwo nie jest zupełne. Nawiązywanie do systematyki OECD nie jest także połączone z automatycznym transferem określeń (definicji) stosowanych dla poszczególnych dziedzin i dyscyplin naukowych do nowego krajowego systemu podziału.

Dygresja 1. W tym miejscu warto przypomnieć słowa Św. Augustyna (Św. Augustyn, *Soliloquia*), iż każda nauka to w istocie: Definicje, Podziały i Dowody. Brak definicji dyscypliny naukowej i domeny (metodyki i przedmiotu badań), a także powszechnej – środowiskowej – ich akceptacji, indukuje ryzyko braku wzajemnego rozumienia i porozumiewania się.

Dygresja 2. Profesor Józef Bocheński nazywa brutalnie brak jednoznacznego rozumienia słów przez rozmówców bełkotem (por. J. Bocheński, *100 zabobonów*). Moje wieloletnie doświadczenie zawodowe wskazuje, że brak jednoznacznego definiowania pojęć prowadzi w dyskusjach naukowych do nieporozumień, niekiedy wzbudza niezamierzone emocje, a dla słuchaczy sprawia wrażenie bełkotu właśnie.

Procedury awansu naukowego (doktoraty, habilitacje, profesury) wymagają jednoznacznego określenia, czy dorobek mieści się w danej dyscyplinie naukowej. Określenie domeny dyscyplin naukowych ma też kluczowe znaczenie dla instytucji upoważnionych do przeprowadzania procedury awansu naukowego. Ma to też podstawowe znaczenie w procedurach publikowania artykułów w czasopismach o danym profilu, czy przy recenzowaniu projektów badawczych.

Wyznaczenie wyraźnych granic pomiędzy współczesnymi dyscyplinami naukowymi nie jest łatwe. Interdyscyplinarność jest powszechnym przejawem współczesnej aktywności naukowej i podejmowanych problemów badawczych. Rozwiązywanie tych problemów przekracza często możliwości intelektualne pojedynczych badaczy, a często i pojedynczych instytucji naukowych. Gdy dany problem naukowy jest już rozwiązany – lub rozwiązywany – publikowane są artykuły naukowe o interdyscyplinarnym właśnie charakterze. W najbliższej ocenie parametrycznej instytucji naukowych (2021 rok) takie interdyscyplinarne artykuły eksperci będą kwalifikowali (lub dyskwalifikowali) do danej, ocenianej, dyscypliny. Na jakiej podstawie? Czy tylko na podstawie swojego

uznania? Nie jest to jednoznacznie określone. Jednoznacznie natomiast jest określone, jakie będą skutki braku odpowiedniego dorobku naukowego dla ocenianej instytucji...

Mimo więc kłopotów z określeniem wyraźnych granic pomiędzy współczesnymi dyscyplinami naukowymi zadanie to należy podjąć. Przyjmuje się zwykle, że wyznacznikami domeny danego obszaru nauki są: (1) przedmiot badań i (2) metody badawcze.

Problemy sformułowane powyżej przedstawię na przykładzie inżynierii rolniczej (dotychczas w dwóch dziedzinach, tj. naukach rolniczych i technicznych), obecnie inkorporowanej wraz z mechaniką, włókiennictwem, inżynierią produkcji oraz budownictwem i eksploatacją maszyn do nowej dyscypliny o nazwie inżynieria mechaniczna. Każda z inkorporowanych dyscyplin naukowych znalazła się w sytuacji, w której nie jest jednoznacznie określone, co wnosi do nowej dyscypliny z dotychczasowego dorobku – i co będzie kontynuowane – a co z tego dorobku już nie mieści się w nowej dyscyplinie. Dotyczy to także mechaniki, bo Inżynieria mechaniczna to nie to samo co mechanika, tak jak genetyka to nie to samo co inżynieria genetyczna, czy chemia i inżynieria chemiczna. Oprócz oczywistych podobieństw są i oczywiste różnice w znaczeniu tych pojęć.

Współczesna inżynieria rolnicza jest obecnie powszechnie rozumiana jako obszar nauki, który łączy interdyscyplinarnie wiedzę z zakresu biologii, techniki i informatyki<sup>1</sup>. Niemal wszystkie współczesne osiągnięcia inżynierii rolniczej – konstrukcyjne i eksploatacyjne – są wynikiem praktycznych zastosowań wyników badań biologicznych, technicznych i informatycznych.

Jak zdefiniować „nową” inżynierię mechaniczną (tj. po inkorporowaniu do niej inżynierii rolniczej)?

Moja propozycja jest następująca: *Inżynieria mechaniczna jest dyscypliną naukową, której domeną jest projektowanie, budowanie i eksploataowanie systemów mechanicznych łącznie z systemami produkcji i przetwarzania żywnościowych i nieżywnościowych surowców pochodzenia biologicznego.*

Dodanie fragmentu zdania o surowcach i produktach biologicznych jest dlatego ważne, że inżynieria mechaniczna nie zajmowała się nimi na ogół (lub zajmowała marginalnie).

Akceptacja definicji, w tym przypadku przykładowej definicji dyscypliny naukowej, nie jest bynajmniej sprawą banalną. I nie chodzi tu tylko o możliwość porozumiewania się naukowców [por. Dygresja 1 i Dygresja 2]. Chodzi także o uznanie dotychczasowego dorobku naukowego dyscypliny i kontynuację badań naukowych, ważnych zarówno ze względów poznawczych, jak i użytkowych.

Przedstawiony przykład nie jest bynajmniej odosobniony. Naśladując OECD-owski podział dyscyplin naukowych – nb. to naśladownictwo nie jest całkowicie wierne – pozostawiono otwartą sprawę określenia domeny dziedzin i dyscyplin naukowych. Określenie to jest potrzebne ze względów, które w zarysie usiłowałem przedstawić powyżej.

TADEUSZ JULISZEWSKI  
Uniwersytet Rolniczy w Krakowie

<sup>1</sup> Autor artykułu był przewodniczącym Międzynarodowej Organizacji Inżynierii Rolniczej i Biosystemowej CIGR (por. [www.cigr.org](http://www.cigr.org)) w latach 2012–2018.

## Podpis Prezydenta

Dotarło do mnie niedawno oświadczenie skierowane do Pana Prezydenta Andrzeja Dudy, który – jak twierdzą autorzy – wstrzymuje się z nadaniem tytułu profesora docentowi Michałowi Bilewiczowi, kierownikowi Centrum Badań nad Uprzedzeniami Wydziału Psychologii UW, pomimo poprawnie przeprowadzonej procedury oceny jego dorobku oraz pozytywnych uchwał i opinii odpowiednich gremiów. Oczywiście dołączyłem do grona popierających petycję. Mam nadzieję, że są wśród nich, oprócz przeciwników, co najmniej równie liczni zwolennicy Pana Prezydenta. Jest to bowiem precedens dotykający boleśnie całe środowisko – ponad podziałami.

Starcom takim jak ja, dobrze pamiętającym tzw. okres słusznie miniony, natychmiast nasuwają się wspomnienia. Wstrzymywanie nominacji ludziom uznanym za nieprawomyślnych było wszak normalną praktyką ówczesnych władz. Inicjatorem bywała zwykle lokalna organizacja partyjna (czasem, jeżeli delikwent działał poza uczelnią, sprawę inicjowały wyższe instancje). Przypadki te były na tyle częste, że z początkiem lat osiemdziesiątych Senat UJ zobowiązał Rektora do regularnego przedkładania listy kandydatów do tytułu, których nominacje „ugrzęzły” na szczeblu Rady Państwa. Intencja była jasna: chodziło o zawstydzenie lokalnych członków partii i ewentualne skłonienie ich do interwencji na wyższym szczeblu. O ile pamiętam, prezentowane co kilka miesięcy listy zawierały sporo nazwisk. Nazwiska się zmieniały, bo czasem udawało się jednak przeszkodę pokonać. Zazwyczaj wymagało to wielu wysiłków ze strony władz uczelni oraz zaangażowania uczonych o wyjątkowym międzynarodowym autorytecie, z którymi nawet władze PRL-u musiały się liczyć. Czasem pomagało też to, że nasz kraj ma długą tradycję sprzeciwu wobec narzuconej władzy i wypracowaliśmy wiele dość skutecznych metod działania. Opiszę interesujący przypadek, który znam z opowieści mojego bardzo bliskiego znajomego. Myślę, że ilustruje dobrze ówczesną rzeczywistość, chociaż zapewne nie jest całkiem typowy.

Było to w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Sytuacja w kraju była napięta, studenci się burzyli. Przyjaciół mojego znajomego, nazwijmy go docentem X, człowiek o wybitnym dorobku, miał „nieszczęście” podpisać jakąś odezwę protestacyjną, którą podsunęli mu jego studenci (zapomniałem już, o co chodziło). To „oczywiście” zablokowało jego awans. Koledzy zastanawiali się, jak mu pomóc, i wtedy jeden z nich przypomniał sobie, że jego daleka krewna pracuje w dziale kadr w ministerstwie. On sam miał kiedyś kłopoty z awansem, bo w szkole podstawowej był ministrem i działał w kółku różańcowym.

Wtedy ta krewna mu pomogła. Z tą informacją mój znajomy pojechał do Warszawy i powiedział tej pani, że na uniwersytecie wrze, ponieważ studenci wiedzą, że z powodu petycji docent X ma kłopoty i wobec tego przygotowują strajk protestacyjny. W tej sytuacji, kontynuował, w naszym wspólnym interesie jest temu zapobiec i dlatego należy tę nominację jak najszybciej załatwić. Był to z jego strony kompletny błąd, bo sam nie miał kontaktu ze studentami i nic nie wiedział o żadnym strajku. Czy ona w to uwierzyła, czy nie, trudno powiedzieć. W każdym razie go nie wyrzuciła, tylko stwierdziła, że sama jest zbyt nisko, żeby mogła coś w tej sprawie zrobić, ale dała mu cenną wskazówkę: proszę pójść do wiceministra Y, ta sprawa jest u niego.

Wobec tego mój znajomy zameldował się do wiceministra Y i powtórzył mu swoją historię. Usłyszał, że Y nie zajmuje się tą sprawą, nie zna jej, ale spróbuje się zorientować i przekaże mu wiadomość za parę dni. Wtedy mój znajomy popatrzył mu prosto w oczy i z naciskiem powiedział: Ja WIEM, że ta sprawa jest u Pana. Wówczas, ku jego zdumieniu, wiceminister wstał, podszedł do szafy, wyjął jedną z teczek, otworzył i powiedział: zgadza się, sprawa będzie załatwiona w tym tygodniu. I rzeczywiście nominacja przyszła bardzo szybko.

Powiedzieć, że mój znajomy był zdumiony, to mało powiedzieć. Pamiętam, jak mi mówił z przejęciem: nie mogę pojąć, jak można tak kłamać w żywe oczy, a następnie tak jawnie się do kłamstwa przyznać. Co on pomyślał? Czy, że ja jestem „swój” i nie ma co dalej udawać? Czy, że może jestem „mocniejszy” od niego?

Gdy to usłyszałem, ta ostatnia możliwość wydała mi się całkiem prawdopodobna. W takim systemie każdy boi się każdego, bo w końcu nigdy nie wiadomo, kto ma jakie „dojścia,” i lepiej uważać. Dzisiaj nie wykluczam jednak, że mógł to być całkiem przyzwoity człowiek, tylko po prostu bał się o swoje stanowisko. I w pewnym momencie – po chwili wahania – zrozumiał, że oto podsunęto mu pretekst, aby bezpiecznie mógł zrobić coś dobrego.

Jak było naprawdę? Tego naturalnie już nigdy się nie dowiemy.

Wracając do przypadku docenta Bilewicza, chciałbym, dla uniknięcia nieporozumień, wyjaśnić mój pogląd: sądzę, że Pan Prezydent ma pełne prawo do wstrzymania nominacji, jeżeli widzi jakieś ważne powody, aby tak uczynić. Uważam jednak, że powinien te powody przedstawić zaniepokojonej opinii publicznej, aby nie narażać swojego autorytetu jako strażnika prawa i dobrych obyczajów.

ANDRZEJ BIAŁAS

\* Z uznaniem i nadzieją przyjąłem wiadomość, że również prof. Andrzej Nowak, redaktor dwumiesięcznika „Arcana”, kieruje zapytanie w tej sprawie do kancelarii Prezydenta.

PAUza Akademicka – [www.pauza.krakow.pl](http://www.pauza.krakow.pl) – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: [pauza@pau.krakow.pl](mailto:pauza@pau.krakow.pl)

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.